

TELESYLWETKI

EWA ŻUKOWSKA należy do tych młodych, utalentowanych aktorek, które od debiutu (a jest dopiero 7 sezon na scenie) grają dużo i otrzymują interesujące propozycje. Tak się też szczęśliwie złożyło, że telewizyjne role aktorki nie przekraczają rozsądnej „częstotliwości emisyjnego dawkania”. Z Ewą Żukowską spotykamy się na telewizyjnym ekranie parę razy do roku i zawsze z satysfakcją odnotowujemy jej sukcesy artystyczne.



Po obejrzeniu spektaklu „Popiół i diament” — reż. Z. Hübnera, w którym Żukowska pięknie zagrała rolę barmanki Krystyny, napisałam z żalem w PANORAMIE, że parę jej scen „zbrzydził” operator światła, który zamiast ładnej dziewczyny (co jest istotne dla fabuły „Popiołu”) pokazał nam twarz w plamach, cieniach, przez co wydawało nam się, że mamy przed sobą osobę starszą i nie tak urodziwą, jaką jest w rzeczywistości Ewa Żukowska.

— Problem, o którym wspomniałam na wstępie dotyczy wielu ładnych aktorek: ileż można pokażać światłem! Czy i pani jest tego zdania?

— Wydaje mi się, że podjęła pani naprawdę ważny temat. Uważam, że najistotniejszym zadaniem aktorskim — oczywiście należącym do drugiej strony medalu, jest pokazywanie siebie w różnych wersjach, tak jak w życiu, a więc w wersji subtelnej, karykaturalnej, pięknej. W telewizyjnym filmie „Babie lato” byłam postacią karykaturalną, gdyż taka była moja koncepcja granej roli. A istnieją też role, gdzie sprawa wyglądu jest niezmiernie istotna. Nie zawsze dotyczy to całej roli, częściej tylko pewnych jej momentów. A twórcy przedstawienia niejednokrotnie nie myślą o tym, żeby „podbudować” aktora, który w takim przypadku niewiele zdziała bez pomocy ludzi, pracujących nad spektaklem i mogących się przyczynić do sukcesu lub klęski aktora. Mam na myśli reżysera, scenografa, kostiumologa, operatora światła, panów prowadzących kamery, nawet realizatora telewizyjnego, który wybiera taki a nie inny kadr do emisji. Posłużę się przykładem sztuki, w której grałam („Diabelski zawód” O’Neilla) i gdzie z tzw. brzydkiego kaczątka wyrastałam na gwiazdę amerykańską. I w tej właśnie sztuce czuwająca nad światłem pani Anna Rusin rozumiała, że moja rola polega na tym przeobrażeniu. Podparła mnie światłem w najistotniejszych dla mnie momentach: stawałam się wtedy zupełnie inną osobą. Sama nie sprostalbym temu zadaniu. Z kolei widzowie często nie rozumieją, że aktorka celowo decyduje się na taki, a nie inny wygląd, że jest to dla niej konieczne jako dla bohaterki spektaklu i nawet moją pretensję, że osoba, której wygląd dobrze znają, pokaże im się nagle przyciszona, szara, brzydsza...

— Jest pani obecnie bardzo przepracowana...

— Nagrałam dla telewizji „Jutro” — Conrada i komedię „Czworo pod jednym dachem” oraz filmy telewizyjne „Babie lato” reż. Ewy Kruk i serial TV „Znaki szczególne” reż. Załuski oraz epizod w filmie fabularnym „Doktor Judym” reż. Haupego — rola naprawdę niewielka, ale bardzo dla mnie interesująca, gdyż mogłam prosto z wiejskiego „Babiego lata” wejść do salonu.

— To znaczy miała pani okazję odkryć wiele nowych możliwości aktorskich i wzbogacić swój warsztat...

— Mam nadzieję, że nie na tyle, aby mi groziło powielanie siebie...

— Gra pani dużo w Teatrze Narodowym!...

— Dyrektor Hanuszkiewicz powiedział kiedyś, że aktor, aby się sprawdził w zawodzie, potrzebuje pięciu lat. A ja natomiast uzupełniłabym tę wypowiedź stwierdzeniem, że aktorki mniej, gdyż rozwijają się szybciej nie tylko biologicznie, także zawodowo. Myślę więc, że „się sprawdziłam” i że owo nieodzowne w zawodzie szczęście mnie nie opuści.

— Czy teatr jest u państwa w domu (mąż — Andrzej Kopiczyński — dop. aut.) najważniejszym tematem?

— Najważniejszym tematem jest córka Kasia, która liczy dwa i pół roku. Ale nie sposób w małżeństwie aktorskim nie poruszać spraw związanych z graniem... Jesteśmy dla siebie najbardziej ostrymi krytykami i to nam pomaga w pracy.

Rozmawiała: ALINA BUDZIŃSKA